

MISTRZYNI BRYTYJSKIEGO KRYMINAŁU

ELLY
Griffiths

PS.

Dzięki za

zbrodnie

Kto by pomyślał, że pisanie kryminałów grozi śmiercią...

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE POSTSCRIPT MURDERS

Copyright © Elly Griffiths 2020
All rights reserved including the rights of reproduction in whole
or in part in any form

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2023

Redakcja: Anna Walenko
Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka
Zdjęcia na okładce: © E.J Miles/Arcangel

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)



Prolog

Ci dwaj mężczyźni stoją tam już od osiemnastu minut. Peggy obserwuje ich, patrząc na stoper. Zaparkowali przy nadmorskim bulwarze, tuż przed kawiarnią Benedicta. Biały ford fiesta. Nie widzi rejestracji, co jest irytujące, ale przykłada do oczu lornetkę i wtedy dostrzega wgniecenie przy drzwiach. Jeśli samochód jest wypożyczony, firma to zauważy. Peggy notuje to spostrzeżenie w swojej *Księdze dochodzeniowej*, która – z muszlami i łódkami rybackimi w pastelowych kolorach na okładce – nosi przemyślnie mylący tytuł *Dziennik pani znad morza*.

Ci mężczyźni wydają jej się podejrzani z kilku powodów. Przede wszystkim w Shoreham-by-Sea sprawiają wrażenie obcych. Czasami, dla zabawy i żeby ćwiczyć dar obserwacji, Peggy zapisuje, kto przeszedł pod jej oknem.

Poniedziałek, 3 września 2018, godz. 10–11

7 emerytów: 2 pary, 3 singli

1 mężczyzna na rolkach, po trzydziestce (za stary)

4 singli z psami: 2 z border collie, 1 z mopsem, 1 z jakimś pudłowatym

(nb. ludzie zawsze zapamiętują psy)

kobieta, po trzydziestce, elegancko ubrana, rozmawia
przez telefon
mężczyzna, po sześćdziesiątce, z czarnym workiem na
śmieci, prawdopodobnie bezdomny
4 rowerzystów
2 biegaczy: 1 w dobrej formie, 1 na skraju wyczerpania
1 monocyklista (prawdopodobnie z Brighton)

Ci dwaj za oknem nie pasują do tego schematu. Nie są na rowerach, nie biegają ani nie spacerują z psem. To nie emeryci. Obaj przed czterdziestką, krótko ostrzyżeni, mają na sobie dzinsy i kurtki, jeden niebieską, drugi szarą. Jak młodzi na nie mówią? Bomberki? To jedna z mniej trafionych nazw, jakie słyszała. Mężczyźni wydają się podobni do siebie z powodu ubrania, ale Peggy nie sądzi, żeby byli spokrewnieni. Jeden ma znacznie ciemniejszą karnację i inną budowę ciała, jest raczej krępy niż zyłasty. Nie są też chyba parą. Nie dotykają się ani nie patrzą na siebie. Nie śmieją się ani nie kłócą – a jest to zachowanie, po którym najłatwiej rozpoznać parę. Tylko stoją, może na coś czekają. Od czasu do czasu ten w niebieskiej kurtce spogląda w stronę okna Peggy, ale ona jest schowana za zasłoną: umie wtapiać się w tło. Jak wszyscy starzy ludzie.

Początkowo myślała, że przyjechali do kawiarni Benedicta, która jest naprawdę warta polecenia, ale nie idą w kierunku Shack. Są jakby spięci – to wzbudziło jej czujność – i obaj stoją odwrócenymi plecami do morza. Kto przyjeżdża na plażę w Shoreham i nawet nie spojrzy na lśniące fale, które tego dnia wyglądają pięknie, z jachtami i mewami w charakterze dodatków? Ci dwaj mężczyźni patrzą na drogę i na Seaview Court, budynek z mieszkaniami dla emerytów, gdzie we wnęce okiennej właśnie kryje się Peggy. To nie ulega wątpliwości. Na

coś czekają. Tylko na co?

Punkt jedenasta ten w niebieskiej kurtce wyjmuje z kieszeni telefon i z kimś rozmawia. Drugi, w szarej kurtce, zerka na zegarek, tak duży, że można zobaczyć go przez lornetkę nawet z odległości stu metrów. Mężczyźni naradzają się chwilę, po czym wsiadają do samochodu. Ford fiesta wyjeżdża na drogę i Peggy wychyla się, żeby zobaczyć numer rejestracyjny.

GY coś tam. To jedynka czy siódemka? Musi pójść do okulisty po receptę na nowe okulary. Nagle samochód zatrzymuje się tuż pod jej oknem. Peggy z powrotem chowa się za zasłonę z luźno tkanej bawełny. Tak luźno, że całkiem dobrze wszystko przez nią widzi. Nie ma pewności, bo obraz jest trochę niewyraźny, ale wydaje jej się, że jeden z mężczyzn wychyla się przez okno samochodu i robi zdjęcie. Budynku. Potem fiesta odjeżdża.

Jedenasta siedem.

Rozdział 1

Natalka: pełne zdania

Od razu się orientuje, że coś jest nie tak. Trudno powiedzieć co – poczta leży na półokrągłym stoliku, ułożona w staranny stosik, w mieszkaniu panuje cisza, tak że słycać tylko krzyk mew atakujących kogoś na zewnątrz, secesyjny zegar tyka spokojnie w obudowie ze stali nierdzewnej. Mimo to, nie wiadomo skąd, Natalka wie. Jakby cząsteczki zmieniły konfigurację.

– Pani Smith?! – Woła ją także po imieniu, chociaż pani Smith nie należy do najbardziej bezpośrednich. – Peggy?!

Żadnej odpowiedzi. Natalka otwiera drzwi do salonu. Słyszy szum, jakby działało jakieś urządzenie elektryczne, wie jednak, że pani Smith o drugiej włącza radio na operę mydlaną *The Archers* i piętnaście minut później je wyłącza. Nie znosi *Afternoon Drama*. „Banda skupionych na sobie ludzi, którzy mówią tylko o swoim życiu. O nim albo o podróży w czasie”. Jest szósta. Pora wieczornych wizyt, żeby pomóc podopiecznym przygotować się do snu. To oczywiście strasznie wcześnie, ale Natalka musi jeszcze odwiedzić pięć innych osób, więc co ma zrobić?

Wchodzi do pokoju. Pani Smith siedzi w fotelu przy oknie

wykuszowym. Lubi patrzeć na morze i nawet ma lornetkę, żeby obserwować rzadkie ptaki czy – jak podejrzewa Natalka – szpiegować przepływające statki. Tego dnia jednak niczemu się nie przypatruje. Pani Smith nie żyje. Natalka wie to, jeszcze zanim sprawdza puls i zauważa na wpeł otwarte usta i niewidzące oczy. Dotyka starszej pani. Chłodna, ale nie zimna. Natalka żegna się znakiem krzyża.

– Niech spoczywa w pokoju – mamrocze i wybiera numer Care4You.

Odbiera szefowa. Cud.

– Patricia Creeve.

– Pani Smith nie żyje. – Natalka przechodzi od razu do rzeczy.

– Jesteś pewna? – pyta równie konkretnie Patricia.

– Żadnego pulsu.

Pod wpływem stresu Natalka często zapomina o czasownikach, przyimkach i spójnikach, o mówieniu pełnymi zdaniami.

– Już jadę – mówi Patricia. – Panie, świeć nad jej duszą.

Dorzuca to dopiero po chwili, ale Natalka nie ma jej tego za złe. Zapowiada się długi wieczór.

Natalka siedzi na kanapie, czekając na Patricię. W normalnych okolicznościach nie pozwoliłaby sobie na to, żeby siedzieć w domu podopiecznego, chyba że ten wyraźnie chciałby pogawędzić. Peggy jednak nie należała do gadatliwych. Była zawsze uprzejma, ale wiedziała, że Natalka musi wykonać swoją pracę, a ma mało czasu. Dziwnie teraz tak tkwić beczynn timer naprzeciwko niemej postaci w fotelu, ustawionym w ten sposób, żeby można było podziwiać morze. Natalka wstaje i

podchodzi do okna. Widzi rozległy obszar błękitnej wody ze spienionymi falami i mewy krążące na jaśniejszym od niego niebie. To obrazek jak z pocztówki, jeśli nie patrzeć w lewo, na elektrownię i złowróźnie wyglądające trawlerzy o rosyjskich nazwach. Nagle uświadamia sobie, że stoi plecami do zwłok. Jednocześnie doznaje bardzo dziwnego wrażenia, że ktoś ją obserwuje. Szybko się odwraca, ale Peggy nie zmieniła pozycji. Jasne, że nie, upomina samą siebie Natalka. Peggy umarła. Nie zacznie tańczyć mazurka. Piętro niżej drzwi się otwierają, a potem zamykają. Ktoś idzie ciężkim krokiem po schodach i w pokoju pojawia się Patricia. Natalka nie przekręciła klucza w zamku.

Wskazuje fotel pod oknem i Patricia podchodzi do niego. Ujmuje rękę Peggy z zawodowym spokojem, ale w oczach ma smutek.

– Odeszła – mówi.

„Odeszła”. To określenie, którego Natalka nigdy tak naprawdę nie rozumiała. Brzmi nierealne, ulotnie, jakby coś istniało tylko przez chwilę. Było i odeszło. A przecież śmierć jest wieczna.

– Czy wezwałaś pogotowie? – pyta Patricia.

– Nie – odpowiada Natalka. – To znaczy, od razu widziałam, że nie żyje. Jak myślisz, co to mogło być? Zawał?

– Pewnie tak. Ile miała lat?

– Dziewięćdziesiąt. Szczyciła się tym. Urządziliśmy jej małe przyjęcie urodzinowe w kawiarni Benedicta.

– Była w dobrej formie jak na swój wiek – zauważa Patricia.

– Obok fotela leżą pigułki – mówi Natalka. – Może zapomniała je zażyć.

– Niewykłuczone, ale prawdopodobnie odeszła we śnie. To dobra śmierć – dodaje Patricia i łagodnie poklepuje Natalkę po

ramieniu.

– Wiem.

– Zadzwońię do zakładu pogrzebowego. Przyślę samochód.

Ma numer w systemie szybkiego wybierania. No oczywiście. Podczas gdy Patricia rozmawia przez telefon, Natalka jeszcze raz podchodzi do zmarłej – do Peggy. Minęło zaledwie piętnaście minut, a ona już się zmieniła. To nie Peggy; można by pomyśleć, że fotel zajmuje niezwykle realistyczna figura starej kobiety. Jej skóra jest jakby z wosku, a złożone na kolanach dłonie wyglądają niczym uformowane przez rzeźbiarza. Kto często malował ręce złączone do modlitwy? Dürer? Patricia zamknęła Peggy oczy i Natalka czuje ulgę.

– Niech spoczywa w pokoju – mówi ponownie.

– Powinnaś iść do domu, Natalko – odzywa się Patricia. – To musiał być dla ciebie okropny szok. Jutro rano też weź sobie wolne.

Co za gest ze strony szefowej. W Care4You wciąż brakuje opiekunów i od Natalki oczekuje się, że będzie brała dodatkowe zmiany. Myśl, że nie musi jutro wczesnie wstać, jest wręcz upajająca.

– Zawiadomiłaś rodzinę? – pyta. – Chyba miała syna.

– Zaraz sprawdzę – mówi Patricia i bierze z półokrągłego stolika kartę Peggy.

Wszyscy klienci mają takie karty: opiekunowie notują w nich datę, czas i przebieg każdej wizyty. *Toaleta, posilek podany, wszystko w porządku.*

– O, mam – mówi Patricia. – Najbliższy krewny: syn, Nigel Smith. Jest numer telefonu komórkowego.

Dzwoni, a Natalka znów odwraca się do Peggy. Wygląda pogodnie – tak powie szefowa Nigelowi. Odeszła w spokoju. Na podłokietniku fotela leży otwarta książka. *Morderstwo w*

wieżowcu Dexa Challonera. Na stoliku spoczywa lornetka. Są tam też długopis, rozwiązana krzyżówka i pudełko na leki, takie z dniami tygodnia. I coś jeszcze: kartonik, ledwie wystający spod krzyżówki. Natalka go wyciąga. To wizytówka, służbowa, z czarnym ozdobnym krojem pisma:

Pani M. Smith. Konsultantka do spraw zabójstw.

Rozdział 2

Harbinder: Panda Pop

Detektyw sierżant Harbinder Kaur pracuje do późna. Nie ma nic przeciwko temu. Jeśli wróciłaby do domu, matka znów zaczęłaby ją przekonywać do aplikacji randkowych („To najnowszy trend. Jest nawet specjalna grupa What’s Up dla sikhów”), a ojciec rozprawiałby o polityce. A tu przynajmniej jest spokój. Nie ma Neila – detektywa sierżanta Neila Winstona, jej partnera – który zmiatałby wyimaginowane okruchy ze swojego biurka i wykonywał te irytujące ćwiczenia na biceps, jakby każda sekunda spędzona poza siłownią była czasem straconym. I nie ma Donny, jej szefowej, detektyw inspektor Donny Brice, która przyszlaby z zakupami na cały tydzień i narzekała na ceny pringlesów. Biuro wydziału zabójstw, gdy jest puste, wydaje się uporządkowane i łatwe do prowadzenia. Harbinder kończy sporządzać dokumentację i w duchu przyznaje sobie złotą gwiazdę. „Najlepsza sikhijaska detektyw lesbijka w West Sussex” – i cóż, jedyna. Ale co tam, złota gwiazda to złota gwiazda. Co może jeszcze zrobić? Umyć kubki po kawie? Podlać więdnącą zielistkę? Zadzwoić do Clare i poznać najnowsze plotki ze świata heteryków? Wejść na Twittera i poczuć obrzydzenie do świata? Zagrać w *Panda Pop*? To ostatnie wydaje się najlepszym

sposobem na wykorzystanie czasu. Już wyjmuje smartfona i ma kliknąć w ikonę gry, gdy słyszy głos z interkomu.

– Na dole jest jakaś pani do ciebie. Mówi, że chce coś zgłosić.

– Naprawdę? – To może być nawet ciekawe. – Już schodzę.

Kobieta, która czeka w recepcji, wśród starych numerów „Police Monthly”, budzi zaskoczenie Harbinder. Przede wszystkim jest młoda. Ma blond włosy związane w koński ogon. I kiedy się odzywa, nie ulega wątpliwości, że angielski nie jest jej ojczystym językiem. Mówi płynnie, ale ma lekki, intrygujący akcent. Nieczęsto się zdarza, żeby młode cudzoziemki przychodziły na policję w Shoreham-by-Sea.

– Nazywam się Natalka Kolisnyk – zaczyna kobieta. – Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, że przyszłam.

– Proszę do mojego gabinetu – odpowiada Harbinder. – Porozmawiamy.

Prowadzi Natalkę do pokoju Donny. Żałuje, że powiedziała o nim „mój”, gdy widzi, jaki panuje tu bałagan. Do tego jeszcze Donna powiesiła na ścianie jeden z tych pretensjonalnych kalendarzy z niemowlętami w doniczkach. Natalka siada na krześle dla gości i informuje Harbinder, że ma dwadzieścia siedem lat i pracuje jako opiekunka w firmie Care4You w Shoreham.

– Na umowie śmieciowej – dodaje, krzywiąc się. – Żadnych dodatkowych świadczeń, zwrotów kosztów podróży.

Harbinder kiwa głową. W Shoreham jest dużo starszych osób, wiele z nich potrzebuje opieki domowej. Nic dziwnego, że ludzie, którzy ją świadczą, dostają małe wynagrodzenie i nie mają żadnych przywilejów. Natalka jednak nie sprawia wrażenia kogoś żyjącego na granicy ubóstwa. Jest ubrana całkiem zwyczajnie, w dżinsy i białą koszulkę, ale ma drogie sneakersy

marki Allbirds. Harbinder zawsze zwraca uwagę na buty.

– Miałam jedną podopieczną w Seaview Court – mówię dalej Natałka, rozglądając się po pokoju z nieukrywanym zainteresowaniem.

Harbinder ma nadzieję, że dziewczyna nie zauważy dzieci w doniczkach. Zna Seaview Court, z mieszkaniami dla starszych osób, nad samym morzem, z widokiem na plażę.

– Nazywała się Peggy Smith – ciągnie Natałka. – Zmarła dwa dni temu. To bardzo smutne, ale nie było wielkim zaskoczeniem. Miała dziewięćdziesiąt lat. Mogła umrzeć w każdej chwili. Ale dziś pomagałam uprzątnąć jej rzeczy. Jutro przyjeżdża syn Peggy i chce, żeby wszystko zostało spakowane do pudeł. Zamierza szybko sprzedać mieszkanie. Taki typ człowieka.

Harbinder znowu kiwa głową. Wie, o jaki typ chodzi.

– Ten syn, Nigel, poprosił mnie, żebym zaczęła od książek. Pani Smith miała ich dużo, bardzo dużo. Wszystkie o zbrodniach.

– Kryminały?

– Tak. No wie pani, mężczyzna zabija kobietę. Albo kobieta zabija mężczyznę. Czasami tak się zdarza. Chociaż niezbyt często. – Natałka uśmiecha się, odsłaniając piękne zęby, białe i równe. – I na końcu detektyw demaskuje sprawcę.

– Mhm, w normalnym życiu też tak to wygląda – kwituje z przekąsem Harbinder. – Zawsze.

– No więc wkładałam te książki do pudeł, ale mnie to znudziło i zaczęłam je podczytywać. I wtedy coś zauważyłam.

– Co takiego? – pyta Harbinder.

Natałka najwyraźniej nie ma zamiaru się streszczać, ale Harbinder jest dzisiaj wyrozumiały.

– Wszystkie zostały napisane dla niej. Dla pani Smith.

– Chyba napisane przez nią?

– Nie. – Dziewczyna pstryka palcami, usiłując przypomnieć

sobie słowo. – Dla niej. Dla pani Smith, bez której...

– Czyli są jej dedykowane?

– Właśnie! Dedykowane. Wszystkie te kryminały są jej dedykowane. Czy to nie dziwne?

– Chyba tak. Są autorstwa różnych ludzi?

– Tak, wielu różnych ludzi. Ale głównie Dexa Challonera.

Jest znany. Wygooglowałam go.

Harbinder słyszała o Dexie Challonerze. To mieszkający w okolicy autor i jego książki można znaleźć w każdej księgarni hrabstwa. Ich głównym bohaterem jest Tod France, prywatny detektyw, niepodobny do żadnego z tych, których Harbinder dotąd spotkała.

– I wszystkie są dedykowane pani Smith?

– Niektóre. A w innych zostaje wymieniona na końcu, rozumie pani.

– W podziękowaniach?

– Tak. Są tam zwykle wyrazy wdzięczności dla mamy i taty.

Dla wydawcy. I dla pani Smith.

– Ciekawe dlaczego.

– Wiem dlaczego – oznajmia Natalka triumfująco. – Pani Smith jest konsultantką do spraw zabójstw. Znalazłam u niej to. Leżało na stoliku obok fotela. Fotela, w którym zmarła – dodaje z niepotrzebną lubością.

Kładzie przed Harbinder biały kartonik. I rzeczywiście widnieje na nim gotykiem: *Pani M. Smith. Konsultantka do spraw zabójstw.*

– Konsultantka do spraw zabójstw? Co to znaczy? – pyta Harbinder.

– Nie wiem – mówi Natalka. – Ale wydaje się to podejrzane, nie sądzi pani? Kobieta umiera i okazuje się, że była konsultantką do spraw zabójstw.

– Zanim uznamy to za podejrzane, musimy się dowiedzieć, co tak naprawdę znaczy – stwierdza Harbinder. – I dlaczego przed nazwiskiem znajduje się inicjał M. Mówiła pani, że zmarła miała na imię Peggy.

– Peggy to czasami zdrobnienie od Margaret – wyjaśnia Natalka. – Angielskie imiona bywają naprawdę dziwne.

– Wiem, jestem Angielką – rzuca Harbinder, żeby dziewczyna nie sądziła po kolorze skóry, że jest inaczej.

– A ja Ukrainką – rewanżuje się Natalka. – My też mamy dziwne imiona.

Harbinder myśli o Ukrainie i przed oczami stają jej niepokojące obrazy: Czarnobyl, Krym, katastrofa samolotowa. Zastanawia się, czy Natalka nie jest zwiastunem równie złych wiadomości.

– Na co zmarła Peggy Smith? – pyta.

– Na zawał. Tak twierdzi lekarz. To ja ją znalazłam. Siedziała w fotelu przy oknie.

– Czyli żadnych podejrzanych okoliczności?

– Wtedy tak mi się wydawało. Mojej szefowej też. Ale teraz nie jestem taka pewna. Skąd wiadomo, co jest podejrzane, a co nie?

– To dobre pytanie – przyznaje Harbinder.

Myśli o tej rozmowie, jadąc do domu. Na pierwszy rzut oka śmierć dziewięćdziesięcioletniej kobiety w domowym zaciszu nie wydaje się szczególnie podejrzana. Ale może tajemnicza Natalka – tajemniczo atrakcyjna Natalka – ma rację. Może powinni wnikać głębiej. To rzeczywiście dziwne, że o tej starszej pani wspomina się w tylu książkach. A określenie „konsultantka do spraw zabójstw” brzmi jakoś złowrogo. Harbinder wydaje

polecenie swojemu telefonowi, żeby połączył ją z Clare. Jest w takim wieku, że rajcują ją te wszystkie wynalazki niewymagające użycia rąk. Dla jej siostrzeńców i siostrzenic to już nic szczególnego.

– Cześć, Harbinder. – W samochodzie rozlega się głos Clare, pewny, lekko zniecierpliwiony. – Co tam?

– Czy kiedykolwiek ktoś zadedykował ci książkę?

– Co takiego?

– Dużo czytasz. Prowadzisz zajęcia z kreatywnego pisania. Czy ktoś kiedyś wspomniał o tobie w książce? „Dla Clare, bez której to dzieło powstałoby dwa razy szybciej”?

Clare się śmieje.

– Nie, nikt nigdy nie zadedykował mi książki.

– Nawet Henry? – Chodzi o faceta Clare, wykładowcę z Cambridge.

– Może wymienił mnie w podziękowaniach na końcu nowej powieści.

– Czy wydałoby ci się dziwne, gdyby komuś, całkiem zwykłej osobie, zadedykowano wiele książek i wielokrotnie oficjalnie dziękowano?

– Jeśli nie byłaby redaktorem, to tak.

– Czym zajmuje się redaktor?

– Chcesz coś opublikować? Redaktor czyta złożoną w wydawnictwie książkę, poprawia błędy, czuwa nad prawidłowym zapisem nazwisk, nad zgodnością realiów z czasem akcji i tak dalej. Później sprawdza to wszystko korektor. Tyle że teraz coraz częściej się z niego rezygnuje.

Czy Peggy Smith była korektorką? To chyba możliwe. Wydaje się, że to praca dla osoby emerytowanej. Ale przecież na wizytówce nie było napisane „korektorka”. Tylko „konsultantka do spraw zabójstw”.

– Dlaczego to wszystko cię interesuje? – pyta Clare. – Przyjedziesz? Zrobiłam makaron. Zostało całe mnóstwo.

– Brzmi kusząco – mówi Harbinder – ale powinnam już wracać do domu. Do zobaczenia wkrótce. Pozdrów ode mnie Georgie i Herberta.

Dochodzi dziesiąta, kiedy Harbinder parkuje samochód w podziemnym garażu niedaleko domu rodziców. Wciąż myśli o nim, że to ich dom, mimo że też tam mieszka. Czasami mówi sobie z właściwą dozą zgorszenia: „Harbinder Kaur miała trzydzieści sześć lat, była niezamężna i wciąż mieszkała z rodzicami”. Gdyby przeczytała to w książce, straciłaby całą sympatię do bohaterki. No ale nie czyta tego rodzaju książek. I z wyjątkiem krótkiego okresu, kiedy wynajmowała mieszkanie z innymi słuchaczami szkoły policyjnej, mieszka nad sklepem od urodzenia. Pod pewnymi względami jej to odpowiada. Tak naprawdę lubi towarzystwo rodziców, poza tym fajnie mieć kogoś, kto dla ciebie gotuje i w ogóle troszczy się o ciebie. Są oczywiście także minusy. Jej rodzice na przykład nie wiedzą, że jest lesbijką.

Ma nadzieję, że w domu będzie spokój. Sklep jest zamykany o dziewiątej trzydzieści, matka pewnie zostawiła dla niej coś pysznego w piekarniku i teraz przysypia przed telewizorem. Ojciec wścieka się po obejrzeniu wieczornych wiadomości, a Starsky, ich tępawy owczarek niemiecki, chce wyjść na ostatni tego dnia spacer. Jednak idąc po schodach na górę, Harbinder słyszy głosy mówiące po pendzabsku. O nie, rodzice musieli zaprosić przyjaciół. Jak taka gościnna para ludzi mogła spłodzić córkę, która woli *Panda Pop* od towarzystwa innych ludzi?

– Już idzie – mówi jej matka, Bibi, jakby pojawienie się Harbinder było ostatnim numerem w programie rewiowym. – Wreszcie przyszła nasza Harbinder.

Dwie kobiety siedzące przy stole patrzą tak, jakby spodziewały się bardziej atrakcyjnego gościa specjalnego. Harbinder przypomina je sobie mgliście; widywała obie podczas swoich nieczęstych wizyt w gurdwarze.

– Jak się masz, Harbinder? – zagaduje jedna z nich. Amrit? Amarit? – Wciąż w policji?

Nie, ma ochotę odpowiedzieć, noszę te kajdanki, bo się założyłam.

– Tak – odpowiada po angielsku. – Wciąż w policji.

– Harbinder jest detektywem sierżantem w wydziale dochodzeniowym – włącza się jej ojciec, Deepak. – Bardzo ciężko pracuje.

Stoi w progu ze Starskym i wygląda tak, jakby pragnął znowu stać się panem swojej kuchni.

– Masz chłopaka? – pyta druga z kobiet.

No naprawdę, co jest z tymi starszymi ludźmi? Dlaczego czują się uprawnieni, żeby zadawać takie pytania?

– Czekam na tego jedyne – cedzi Harbinder przez zaciśnięte zęby.

– A ile masz już lat? – pyta wścibsko Amrit. – Trzydzieści osiem? Trzydzieści dziewięć?

– Czterdzieści sześć – rzuca Harbinder, dodając sobie dziesięć. – Dobrze wyglądam jak na swój wiek, prawda?

– Jest dopiero po trzydziestce – pospiesznie wyjaśnia Bibi. – Jesteś głodna, Harbi? Zostawiłam ci coś dobrego.

Harbinder najchętniej pobiegłaby na górę i od razu położyła się do łóżka, ale rzeczywiście jest głodna, a matka przyrządziła curry z kurczaka. Siada więc przy stole.

– Odwieźć was do domu? – proponuje Deepak sąsiadkom, które patrzą na Harbinder, jakby oczekiwały od niej, że pokaże jakąś magiczną sztuczkę.

Kobiety wstają, chociaż dość niechętnie. Nagle Harbinder uświadamia sobie, że starsze panie mogą jej się na coś przydać.

– Czy któraś z was zna Seaview Court? – pyta.

– O tak – odpowiada Amrit. – To ten budynek nad samym morzem. Mieszkał tam Baljeet Singh, dopóki nie umarł.

– I inna starsza pani, która dożyła setki – dodaje jej przyjaciółka. – Dostała od królowej telegram z gratulacjami.

Wszystkie te stare kobiety uwielbiają królową. Uważają, że jest bardzo indyjska.

– Są tam mieszkania dla starszych osób, prawda? – dopytuje się Harbinder.

– Tak, ale nie ma ochrony. Tylko tak mówią, żeby lokatorzy więcej płacili.

– Więc budynek nie jest strzeżony?

– O nie – włącza się druga kobieta. – Niby mają domofon, ale ludzie przez cały czas swobodnie wchodzi i wychodzą. Opiekunki, no wiecie. Każdy może się tam dostać. Nigdy bym nie pozwoliła, żeby moja matka mieszkała w takim miejscu.

Jej matka? To ile ta kobieta musi mieć lat?

– Dlaczego to cię interesuje? – pyta Deepak, biorąc kluczyki do samochodu.

– Bez szczególnego powodu – odpowiada mu córka.

Wraca do swojego curry, a sąsiadki na szczęście rozumieją aluzję i wychodzą. Harbinder nie wie, po co ojciec je odwozi. Mogłyby polecieć do domu na miotłach.

Rozdział 3

Benedict: uważne cappuccino

Benedict Cole uśmiecha się, usiłując jak najuważniej spenić mleko. Naprawdę jestem szczęściarzem, mówi sobie. Mam własną kafejkę nad samym morzem, codziennie poznaję nowych ludzi, z okien widzę bezkres wody i nieba. I to przyjemność przygotowywać napoje, które smakują innym. Piecze też brownie i kruche ciastka. Z całą pewnością jest uprzywilejowany.

– Będiesz, koleś, robił to cappuccino przez cały dzień?

Benedict nie przestaje się uśmiechać, choć czasami trudno jest kochać ludzi, zwłaszcza tych, którym daleko jeszcze do siedemdziesiątkipiątki, a chodzą w pasiastych koszulach z postawionym kołnierzykiem i w kaszkietach. Ten gość może nawet być w jego wieku – on sam ma trzydzieści dwa lata – i mimo że używa słowa „koleś”, mówi z irytująco poprawnym akcentem.

– Już kończę – odpowiada Benedict.

– Bo nie mam do stracenia całego dnia – kwituje Pasiasta Koszula, chociaż trudno zgadnąć, co może mieć takiego pilnego do roboty w Shoreham w środowe przedpołudnie.

Poza tym koszule w paski widuje się tu rzadko, Shoreham jest mniej snobistyczne niż Brighton i przeważa tutaj klasa

pracująca. Może Pasiasta Koszula jest pośrednikiem w handlu nieruchomościami i sprzedaje apartamenty nad morzem ludziom, którzy jeszcze nie zarejestrowali tego faktu.

Benedict stawia cappuccino na ladzie. To dzieło sztuki przygotowane zgodnie z zasadami treningu uważności: kawa z mlekiem, ale mocna, z pianką, na której widać delikatny zarys liścia.

– Czy do tego brownie? – pyta.

– Nie, dzięki. – Pasiasta Koszula macha kartą płatniczą. – Zbliżeniowo?

Benedict wolałby włożyć kartę do czytnika i myśli sobie, że całe jego życie jest ostatnio wybitnie „niezbliżeniowe” albo – jeśli chce nadać swojej melancholii bardziej wzniosły ton – że to słowo dobrze charakteryzuje społeczeństwo w ogóle. W klasztorze nie zachęcano do kontaktów fizycznych, z oczywistych powodów, ale nawet w okresach milczenia komunikowano się ze sobą częściej niż – jak wynika z obserwacji Benedicta – zdarza się to ludziom w świecie zewnętrznym. No i była msza, chleb i wino, ciało i krew. Katolicyzm jest bardzo korporacyjny, jeśli się zastanowić, co Benedict robi zbyt często.

– O czym tak dumasz?

Benedict natychmiast się rozpromienia, bo oto jeden z jego ulubionych klientów, ktoś jak najbardziej „zbliżeniowy”, z kim można naprawdę porozmawiać. Edwin już jakiś czas temu skończył siedemdziesiąt pięć lat, ale za nic nie włożyłby kaszkietu. Latem nosi panamę, zimą trilby, a czasami – kiedy robi się naprawdę zimno – czapkę uszanke.

– Edwin! – wykrzykuje Benedict. – Miło, że przyszedłeś. Wczoraj mi ciebie brakowało.

Nie chce, żeby klienci czuli się winni, jeśli nie wstąpią do kawiarni, ale naprawdę zauważa, kiedy któryś ze stałych

bywalców się nie pojawi. Martwi się, czy nie stało się coś złego.

– Niestety... – Edwin zdejmuje kapelusz, dziś fedorę, którą nosi wiosną i jesienią. – Mam niedobre wiadomości.

– O nie.

Benedict widzi, że Edwin rzeczywiście wygląda na przybitego, ma przekrwione oczy i drżą mu ręce. Czyżby stracił członka rodziny? Czy w ogóle ktoś taki mu jeszcze pozostał?

– Chodzi o Peggy – wyjaśnia starszy pan. – Nie żyje.

O tej porze ruch zawsze ustaje. Ponieważ nie widać nowych klientów, Benedict i Edwin siadają przy stole piknikowym przed Coffee Shack. Nad morzem też prawie nikogo nie ma, ciągnąca się kilometrami kamienista plaża jest tylko usiana kępami wodorostów. To wrzesień i dzieci właśnie wróciły do szkoły, a szkoda, bo prawdziwie letnia pogoda i morze, błękitnozielone, z małymi falami, aż zachęcają, żeby popływać.

Benedict namawia Edwina do zjedzenia brownie, bo „jest dobre na szok”, i przez chwilę siedzą w milczeniu. Jego ono nie krępuje – znowu ten klasztor – ale chętnie by usłyszał, co takiego się stało.

– Jak umarła?

– To się stało nagle. Serce, mówią. Widziałem się wczoraj z Natalką. Porządkuje jej książki.

– Starsza pani je uwielbiała. Droga Peggy.

– Tak. Będzie mi brakowało naszych rozmów o literaturze. Będzie mi brakowało wszystkiego, co miało z nią związek. Tylko dzięki niej dało się żyć w tym budynku – mówi Edwin.

On także mieszka w Seaview Court. Jest to miłe miejsce, z pięknym widokiem na morze, zgodnie z nazwą, ale Edwin, który przeprowadził się tu z Brighton, z eleganckiego szeregowca

w stylu regency, nie znosi go. Peggy jednak je lubiła. „Gdzie miałyby się taki widok? – mawiała. – Ani w Hamptons, ani w Amalfi, ani nawet nad Bajkałem”. Często wymieniała naprawdę dziwne zakątki. Skąd je znała? Już za późno, żeby ją o to zapytać.

– Kiedy pogrzeb? – pyta Benedict.

Pójdzie, oczywiście. Ostatnio był na kilku pogrzebach. Zwykle odbywają się w piątki, w jego kościele parafialnym, i chodzi na nie, jeśli ma obawy, że będzie za mało żałobników. Jak mówi przyjaciel Benedicta, Francis, teraz ojciec Francis, istnieje groźba, że stanie się to jego hobby.

– Natalka nie wie. Nie wydaje mi się, żeby Peggy była wierząca. Mam nadzieję, że nie będzie tej okropnej kremacji. – Edwin jest katolikiem, to także łączy go z Benedictem.

– Czy miała jakąś rodzinę?

– Jednego syna, Nigela. Nie byli sobie szczególnie bliscy. Peggy kiedyś w rozmowie ze mną nazwała go kułakiem. Musiałem sprawdzić, co to znaczy. To z rosyjskiego. Oznacza majątnego chłopca, wroga klasowego, trzymającego z właścicielami ziemskimi. Cała Peggy.

Benedict wie, co to śmierć. „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem”, mówi Pan. Benedict zna ceremoniał pogrzebowy jeszcze z czasów seminaryjnych, ale także ze swoich obecnych wypraw na pogrzeby. Sądzi jednak, że Edwin, w wieku osiemdziesięciu lat, wie o śmierci więcej niż on. Kostucha, jeśli nie czeka tuż za rogiem, to niewątpliwie czyha gdzieś nieopodal.

– Byłeś dobrym przyjacielem Peggy – mówi Benedict.

– Dziękuję ci. – W głosie Edwina brzmi wzruszenie. – Mam taką nadzieję. Ona z pewnością była moją dobrą przyjaciółką. W naszym wieku nie zawiera się nowych przyjaźni.

– Z tym jest trudno w każdym wieku – zauważa Benedict.

Benedict wychował się w Arundel, malowniczym miasteczku targowym nad rzeką Arun, z zamkiem i katedrą. Jako najmłodszy z trojga dzieci chodził do prywatnej szkoły katolickiej, gdzie był znany jako „brat Hugo”. W wieku osiemnastu lat oświadczył – i była to jedyna pamiętna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił – że chce zostać księdzem. Jego rodzice, żarliwi katolicy, jak niektóre dawne angielskie rodziny odmawiające udziału w nabożeństwach anglikańskich, nie spodziewali się, że jedna z ich latorośli posunie się tak daleko. Uznali to wręcz za krępujące i przesadne – jak zrobiliby to rodzice kochającej gimnastykę dziewczynki, która chciałaby zatrudnić się w cyrku. „Myślałam, że księżmi zostają tylko Irlandczycy”, rzuciła kiedyś jego matka. Ale prawda jest taka, że już nawet oni nie zostają księżmi. Szkoła katolicka, do której uczęszczał Benedict, kiedyś wypuszczała rocznie dwóch czy trzech kandydatów na księdza, a on był pierwszym od prawie dziesięciu lat. Nawet jego nauczyciele byli tym zażenowani. A jeszcze żeby zostać zakonikiem! Gdyby chociaż był ciężko pracującym proboszczem, który żyje wśród wiernych i chodzi po domach, by udzielać komunii obłożnie chorym. „Co będziesz robił przez cały dzień? – pytała matka. – Siedział w zamknięciu i śpiewał psalmy?”

Benedict jednak pokochał śpiewanie psalmów i pokochał sam klasztor. Gdy mówi ludziom, że kiedyś był zakonikiem – choć ten temat niezbyt często pojawia się w rozmowach – zakładają, że porzucił to, bo stracił wiarę, wie o tym. Ale w rzeczywistości jego wiara jest równie silna jak dawniej, wręcz przerażająca. Odszedł z zakonu, ponieważ przestał być zakochany w Bogu i zdał sobie sprawę, że pragnie zwykłego życia, jak wszyscy śmiertelnicy. A nawet chciał się ożenić. To zabawne, w seminarium tyle się mówiło o grzechach ciała,

o poświęceniu, jakim jest rezygnacja z małżeństwa i dzieci; odnosiło się tam wrażenie, że w zewnętrznym świecie te radości są łatwo dostępne. Benedict nie sądził, że po dwóch latach od opuszczenia Świętego Bedy będzie mieszkał sam, w kawalerce, nie mając dziewczyny ani nawet widoków na nią. „Poszukaj w internecie”, radzi mu siostra, ale to przecież ma wyglądać inaczej. Powinno się poznać kogoś podczas spaceru nad morzem albo w bibliotece, gdy zwraca się książki. W Shack pojawi się pewnego razu wspaniała kobieta, może trochę dziwna, lekko potargana, i pogawędzą miło o waniliowej latte, a wkrótce potem będą chodzić razem na ambitne filmy i w deszczu biegać ze śmiechem po plaży. Benedict nie chce zrezygnować ze swoich marzeń o Dziwnej Dziewczynie, mimo że nigdy nie widział w Shoreham nikogo nawet trochę do niej podobnego. Jediną młodą kobietą, jaką zna, jest Natalka.

Natalka przychodzi w południe, zawsze w niebieskim fartuchu, któremu potrafi nadać niemal elegancki wygląd. Benedict dobrze ją zna, widują się prawie codziennie i wręcz mógłby ją nazwać przyjaciółką, gdyby więcej o niej wiedział. Pochodzi z Ukrainy, studiowała w Bournemouth i pracuje jako opiekunka starszych ludzi. Benedict wyobraża sobie, jak mówi to matce, która często go pyta, czy „kogoś poznał”. Na słowo „opiekunka” przewróciłaby oczami; chciałaby, żeby poznał prawniczkę, księgową albo nauczycielkę z podstawówki, bo te zawody uważa za odpowiednie dla kobiety. Benedict nie widzi nic złego w pracy opiekunki – w klasztorze przecież dużo mówiło się o aktach miłosierdzia – wydaje mu się jednak dziwne, że Natalka wybrała takie zajęcie. Wiele kobiet decyduje się na nie, bo czas pracy jest ruchomy, a one mają małe dzieci albo starszych rodziców, którymi się zajmują, ale z tego, co wie, Natalki nie ograniczają żadne rodzinne obowiązki. „Z

taką urodą – powiedział kiedyś Edwin – mogłaby być aktorką albo modelką”. Benedict pomyślał, że to strasznie seksistowska uwaga, ale w duchu przyznał starszemu panu rację.

– Kawy? – pyta ją teraz.

– Poproszę cappuccino. Na podwójnym espresso.

– Pamiętam.

Benedict z jeszcze większą uważnością robi dla niej kawę i pod wpływem impulsu dekoruje ją serduszkami.

Natalka upija łyk, nie zauważając wzorku na piance.

– Słyszałeś o Peggy? – zagaduje.

– Tak. Dziś rano powiedział mi Edwin. Jest bardzo przygnębiony.

– Biedny. Chyba była jego jedyną przyjaciółką. Będziemy musieli się o niego zatroszczyć.

Nie ma innych klientów, więc Benedict dosiada się do Natalki przy stole piknikowym.

– Zatroszczymy się – zapewnia. – Zaproponuję mu, żeby wybrał się ze mną do kościoła.

– Spokojnie – mityguje go Natalka. – Nie przesadzaj.

Nawet gdy przekomarza się z Benedictem, jej angielski jest bardzo dobry.

– Wiesz, że to ja ją znalazłam?

– Nie wiedziałem. To musiało być okropne przeżycie.

– Tak. Byłam w szoku. – Natalka przerywa na chwilę, po czym mówi dalej: – Początkowo myślałam, że to smutne, ale... no wiesz, normalne. Peggy miała dusznicę i brała na nią leki. Leżały obok fotela, w którym zmarła. Później jednak doszłam do wniosku, że coś jest nie tak.

– Nie tak?

– Właśnie. Widziałem Peggy tamtego ranka i miała się dobrze. Mimo swojego wieku pływała i chodziła na spacer.

Nigdy nie korzystała z windy w budynku.

– Ale miała już dziewięćdziesiątkę.

– Sądzisz, że nie można zamordować dziewięćdziesięciolatki?

– Zamordować? – Benedict wypowiada to słowo zbyt głośno, aż mewy na dachu Shack śmieją się z niego.

– Nie mam pewności. Ale kiedy porządkowałam jej książki, znalazłam to. – Podsuwa mu wizytówkę.

– *Pani M. Smith. Konsultantka do spraw zabójstw* – czyta Benedict. – Konsultantka do spraw zabójstw? Co toaczy?

– Wczoraj wieczorem poszłam na policję – kontynuuję Natałka, jakby to był dla niej chleb powszedni. – Rozmawiałam z bardzo sympatyczną panią detektyw. Przyznała, że to wygląda podejrzanie.

– Naprawdę?

– Mówiła niewiele, ale widziałam, że się ze mną zgadza. Poprosiłam, żeby przyszła na pogrzeb Peggy, może się czegoś dowie. W końcu głównym podejrzanym musi być syn.

– Syn? Nigel? Ten „kułak”?

– Właśnie on. To prymityw. Znam ten typ. Chciał, żebym odłożyła wszystkie książki Peggy. Już wiem dlaczego.

– Dlaczego? – pyta Benedict.

Czy to jakiś sen? – myśli. Chociaż nigdy nie śni mu się nic równie ciekawego.

– Peggy miała dużo kryminalów.

– Wiem.

To właśnie ich łączyło. Przesiadali przy stole piknikowym w godzinach mniejszego ruchu, rozmawiali o Agacie Christie, Ruth Rendell i ulubionej autorce Peggy, niewydawanej już pisarce Sheili Atkins ze złotej ery powieści detektywistycznych.

– Ona nie tylko je czytała. – W głosie Natałki słychać lekceważenie. – Jej nazwisko pojawia się w tych książkach.

W... jak to się mówi? Podziękowaniach. Dla Peggy, z wyrazami wdzięczności. W jednej nawet autor napisał: *Dzięki za zbrodnie.*

– Dzięki za zbrodnie?

– A teraz sama została zamordowana.

Benedict przejechał się kiedyś kolejką górską w Thorpe Park. Kiedy tylko zapiął pas bezpieczeństwa, zrozumiał, że ta przejażdżka to zły pomysł. Ale było już za późno – wagonik pomknął w dół, niepowstrzymanie i przerażająco. Teraz ma podobne uczucie.

– Tego nie wiemy... – zaczyna.

– Ale jest w tym coś podejrzanego – oświadcza Natalka i wstaje. – I musimy to zbadać. Byliśmy jej przyjaciółmi. Do kogo jeszcze możemy się zwrócić?

– Do policji?

– Już rozmawiałam z policją – tłumaczy Natalka cierpliwie.

– Musimy wziąć sprawy w swoje ręce. Rozejrzymy się na pogrzebie.

– Po co?

– Bo morderca zawsze przychodzi na pogrzeb. Ojej, Benny, naprawdę tego nie wiesz?

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).